

# Aniela Kowalska

---

## Gombrowiczowskie "Wywodzę się z Montaignea"

---

Prace Polonistyczne Studies in Polish Literature 38, 201-209

---

1982

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej [bazhum.muzhp.pl](http://bazhum.muzhp.pl), gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

ANIELA KOWALSKA

## GOMBROWICZOWSKIE „WYWODZĘ SIĘ Z MONTAIGNE’A”

### I

W swej *Przedmowie* do przekładu *Prób* Montaigne’a w 1917 r. Tadeusz Boy Țeleński wyrażał zdziwienie, że w Polsce śladów Montaigne’a, ani też jego wpływu nie spotyka się zupełnie, choć tylu przecie wybitnych twórców i myślicieli na świecie studiowało z pożytkiem jego odważne i wnikliwe wypowiedzi o naszej wspólnej ludzkiej doli.

Pierwszym bodaj u nas pisarzem, który nie tylko przyznawał się, ale kładł nacisk na to, że „wywodzi się z Montaigne’a, był Witold Gombrowicz. Już na pierwszych kartach swego *Dziennika* zapewniał, że nawet „osobowość Țeromskiego czy Prusa lub Norwida, ba, nawet Mickiewicza nie była zdolna wzbudzić (przynajmniej we mnie) – podkreślał – tego zaufania, jakim wypełnia po brzegi Montaigne” (*Dziennik*, t. I, s. 18). Podejrzał bowiem i tych największych twórców polskich o zatajanie czegoś w procesie swego rozwoju, a w konsekwencji niezdolności do wszechstronnej szczerości; „jak gdyby ich cnota nie wszystkim gatunkom grzechu zdolna była spojrzeć w oczy”. Jeszcze w 1963 r., a więc w jedenastym roku prowadzenia *Dziennika*, wyraziwszy uznanie dla „takomej świadomości” Prousta, nie zawahał się dorzucić marginesowo: „(ale jakaż to degrengolada w porównaniu z Montaigne’em!)” (*Dziennik*, t. III, s. 104).

Liczne były racje, które sprawiły, że Gombrowicz udzielił Montaigne’owi tak pełnej akceptacji i uznał go za swego mistrza i przewodnika, niczym Dante Wergilego. Najważniejsza była niewątpliwie, nie mająca precedensu w literaturze, pasja bezwzględnej szczerości francuskiego pisarza: jego potrzeba obnażania się i samosądu nad sobą na oczach czytelników.

Przecież to Montaigne oszajmił prowokacyjnie już na wstępie do swego dzieła: „wyczyta się tu żywsze moje braki i moją szczerą postać o tyle, o ile publiczna obyczajność pozwoliła”. Później, w *Księdze II Prób*

wyraził dumne przekonanie, że: „Mówić o sobie mniej niż jest, to błazeństwo, nie skromność, cenić się mniej, niż się jest wartym, to... małoduszność” (*Próby*, Ks. II, rozdz. 6). Podkreślał, że zdaje sobie sprawę z wagi, celowości i śmiałości swych zamierzeń i dokonań, gdyż: „Żadne opisanie nie jest równie trudne, jak opisanie samego siebie, ani z pewnością równie pożyteczne”. Stwierdzał, że studiowanie samego siebie, to „przedsięwzięcie cierniste”, zmuszające do penetrowania ciemnych otchłani, „wewnętrznych zaułków duszy”, ale zarazem prekursorskie. Nie zawahał się oświadczyć w końcu wprost: „Jest to książka jedyna na świecie w swoim rodzaju” (*Próby*, Ks. II, rozdz. 8). W ostatniej, *Księdze III Prób* Montaigne replikę na domniemane przygany pod swoim adresem sformułował ostro i wzdurliwie: „Jeśli świat mnie zgani, że mówię nadto o sobie, ja mogę mu przyganić wzajem, dlaczego on nawet nie myśli o sobie”. Swoje dzieło zamknął wysoką aprobatą własnej nieposkromionej śmiałości: „najwyższa to doskonałość i jakoby boska u m i e ć z a ż y w a ć s z c z e r z e s w o j e g o i s t n i e n i a” (*Próby*, Ks. III, rozdz. 13).

Montaigne’owską potrzebę maksymalnej swobody w przekazywaniu czytelnikom wszelakich, nawet ryzykownych i kontrowersyjnych spostrzeżeń i refleksji, i to w formie dowolnej, luźnej, na pozór niedbałej, prowokacyjnie lekceważącej ustalone w literaturze reguły, podkreślało wyznanie: „Idę za mą fantazją bez ładu i miary: styl mój i dowcip wałęsają się jednym krokiem” (*Próby*, Ks. III, rozdz. 9). W ślad za tym szła glosa, świadcząca o niemałej przenikliwości autora i jego znajomości natury ludzkiej: „A potem, są ludzie takiego usposobienia... którzy tym wyżej będą mnie szacować, im mniej będą wiedzieli, co chciałem powiedzieć: będą wnosić o głębokości mego sensu z jego ciemności” (*Próby*, Ks. III: rozdz. 9).

Musiąca zyskać szczególne uznanie Gombrowicza ta zaskakująca argumentacja Montaigne’a zarówno jak jego pełne tupetu zuchwałe wyznanie „Osobliwa Chimera ! Wiele rzeczy, których nie radbym wyznał pojedynczemu człowiekowi, powiadam publicznie, co więcej, staram się dopuścić do głosu próżność, nawet i osielstwo, jeśli mi daje przyjemność” (*Próby*, Ks. III, rozdz. 9). Zuchwałość tego wyznania osłabiał – co także było godne uwagi – odznaczający się logiką ścisłego rozumowania komentarz: „Wykroczenia, jakich się dopuściłem, nie należą, Bogu dzięki, do najgorszych; dostatecznie osądziłem je w

sobie wedle tego, co są warte, bowiem sąd mój nie uległ skażeniu” (*Próby*, Ks. III, rozdz. 9).

Na pewno bliski autorowi *Ferdydurke*, a może i inspirujący go do podobnych poczynań był Montaigne’owski „sposób” penetrowania, drażenia różnych spraw metodą, którą wyłożył na początku *Księgi I* swych esejów : „Biorę na los szczęścia pierwszą lepszą kwestię [...] nakłuwam jakoby substancję, wprawdzie nie najszerzej, ale najgłębiej jak zdołam, i najbardziej lubię chwycić rzecz w jakimś świetle nieużywanym” (*Próby*, Ks. I, rozdz. 50). Montaigne nie taił przy tym, że wzbogacał często własne doświadczenia uwagami i przemyśleniami zaczerpniętymi z dzieł innych twórców; wyjaśniał: „Kartkuję książki, nie studiuje ich. Co mi z nich zostanie, tego nie uważam za rzecz cudzą; toć jeno to, z czego sąd mój wyciągnął dla siebie korzyści, myśli i poglądy, którymi się napoił” (*Próby*, Ks. II, rozdz. 17).

Nie rezygnujący z własnej miary, wolny od ciasnoty narodowych uprzedzeń, francuski myśliciel nie bez satysfakcji powoływał się na przykład Sokratesa, który „obejmował świat cały jako miasto rodzinne i udzielał swej wiedzy, obcowania i przychylności całemu rodzajowi ludzkiemu...” (*Próby*, Ks. I, rozdz. 25). Wysuwał stąd wniosek i sąd bezapelacyjny: „Największa rzecz na świecie, to umieć należeć do siebie”. A więc być nade wszystko człowiekiem, być ponad to, co człowieka ogranicza.

Że nie było to zadanie łatwe, mogła świadczyć zawarta w rozdz. 1 *Księgi I* uwaga: „Zaiste, człowiek jest to istota osobliwie letka, różnorodna i odmienna: niełatwo jest budować o nim mniemanie stałe i jednolite”; a także uzasadnienie metody badawczej stosowanej w *Próbach*: „Nie maluję istoty, maluję jej przejście... z dnia na dzień, z minuty na minutę”, gdyż „nie pragniemy nic swobodno, nic wyłącznie, nic stałe” (*Próby*, Ks. II, rozdz. 1).

## 2

Wnikliwość spostrzeżeń i kontrolowany rozważą umiar filozoficznych uogólnień Montaigne’a musiały zyskać pełną aprobatę autora *Dziennika*. Znajdował na kartach *Prób* wiele jakoby zapowiedzi własnych tez i koncepcji, domagających się dalszych przemyśleń i uzasadnień. O Gombrowiczowskiej pasji badawczej i mistrzowskiej autoanali-

zie spod znaku Montaigne'a świadczyło choćby to prowokacyjne zdanie: „Ja jestem najważniejszym i bodaj jedynym moim problemem, [...]” (*Dziennik*, t. I, s. 149). To szczere wyznanie uzupełniał stwierdzeniem, że pisarz wówczas daje wyraz swej zaostrożonej świadomości, jeśli umie wnikliwie pisać o sobie, a jeśli tego nie potrafi, jest „niekompletny”. W końcu podkreślał nie bez dumy: „Ja, który wywodzę się ze szkoły Montaigne'a, wiem, że człowiek jest istotą, która wymaga średnich temperatur”.

„Wywodzić się z kogoś” – to nie znaczy tracić coś z własnej indywidualności. W *Dzienniku*, który zaczął pisać w 1953 r., Gombrowicz już na początku akcentował mocno, cytując swój list do Miłosza: „A ja nie mogę widzieć świata inaczej, jak tylko z własnej perspektywy”. Wyjaśniał: „Ażeby wprowadzić pewien ład w moje uczucia, postanowiłem sobie (i już bardzo dawno), że będę pisał tylko o własnej rzeczywistości” (*Dziennik*, t. I, s. 26). Później określił to metaforycznie, zapewniając: „...w ogóle nigdy nie napisałem jednego słowa, jak tylko w stroju adamowym” (*Dziennik*, t. II, s.237).

Niemalą wagę i znaczenie przypisywał Gombrowicz temu „ja”, tak trudnemu do osiągnięcia i tak zwodniczemu, wymykającemu się bezustannie; był przeświadczony, że to właśnie pogoń za nim jest „całym honorem i wartością życia” (*Dziennik*, t. I, s. 253). Stąd owo „ja” na pierwszej stronie *Dziennika*, a później cała filipika na temat nieodzowności tego pojęcia. „Słowo 'ja' – wywodził – jest tak zasadnicze i pierwotne, tak wypełnione najbardziej namacalną a przeto najuczciwszą rzeczywistością, tak nieomylnie jako przewodnik i surowe jako probierz, iż zamiast nim gardzić należałoby paść przed nim na kolana” (*Dziennik*, t. I, s. 149). Zapewniał, że „ja” nie może utrudniać obcowania z ludźmi, byle tylko „nie było przemycane jak towar zakazany” (*Dziennik*, t. I, s. 89). A więc połowicznie, lęklivé i z uczuciem zawstydzenia.

Już na tej podstawie o *Dzienniku* Gombrowicza można by powiedzieć, że doszedł tu do głosu Montaigne przemyślany na nowo przez pokrewną inteligencję, choć odmienną indywidualność: przez człowieka XX wieku, który razem ze swym wielkim poprzednikiem żywił głębokie przekonanie, że głównym zadaniem człowieka jest zajmowanie się sobą. Od siebie dodawał Gombrowicz, że nie można być w tym względzie „dość fanatycznym”. I jako twórca nie miał wątpliwości co do słuszności

swej postawy: „Ja jestem [...] jedynym ze wszystkich moich bohaterów, na którym mi naprawdę zależy” (*Dziennik*, t. I, s. 149).

Nie zapominał też o przestrodze francuskiego myśliciela, że „choćbyśmy nawet mogli stać się uczonymi uczonością drugich, mądrzy możemy być jedynie własną mądrością” (*Próby*, Ks. I, rozdz. 24). Zastrzegął się więc, że nie jest specjalistą od myślenia i że przytacza innych autorów po to, aby (jak Montaigne) tym dobitniej własną myśl wyrazić, równie jak on przeświadczony, iż „Prawda i rozsądek są wspólnym dobrem wszystkich, i nie bardziej przynależą temu, który je wypowiedział wprzód, niż temu, który później” (*Próby*, Ks. I, rozdz. 24). Dlatego z taką dumą replikował jako autor *Dziennika* wszystkim, którzy próbowali wytykać mu zapożyczenia: „We mnie pewne idee, będące w powietrzu, którym wszyscy oddychamy, związały się w pewien specjalny i niepowtarzalny sens gombrowiczowski – i jestem tym sensem” (*Dziennik*, t. I s. 123). Wskazywał zarazem swe miejsce wśród zaostrożonej do białości myśli współczesnej, jako tego, który „rozładowuje”, który pragnie: „Pilnować w obliczu zjawisk gigantycznych własnej, ludzkiej miary” (*Dziennik*, t. I, s. 121).

Znamienne i jakby po trosze Montaigne’owskie w tonacji jest to samookreślenie się Gombrowicza: „Czytając mój dziennik, jakiego doznajecie wrażenia? Czyż nie takiego, że wieśniak z sandomierskiego wszedł do fabryki roztrzęsionej, wirującej i spaceruje po niej jakby po własnym ogrodzie? Oto piec rozżarzony, w którym fabrykuje się egzystencjalizmy, tu Sartre z rozpalonego ołowiu przyrządza swoją wolność-odpowiedzialność [...] tam zasię kotły bezdenne, w których warzą się ideologie, światopoglądy i wiary [...]. Ale ja przechadzam się pośród tych maszyn i wytworów z miną zamyśloną i zresztą bez większego zainteresowania, zupełnie jak gdybym chodził po sadzie tam u siebie, na wsi. I co pewien czas, próbując tego lub owego wyrobu (jak gruszkę lub śliwkę) mówię: – Hm... hm... hm... to jakieś dla mnie za twarde. Albo: – To, na moją miarę, zbyt obfite. Albo – do diabła z tym, to niewygodne, za sztywne. Lub też: – Ha, nie byłoby to złe, gdyby nie było takie rozpalone! – Więc robotnicy obrzucają mnie spode łba niechętnym wzrokiem. Oto wśród producentów, zjawiał się konsument!” (*Dziennik*, t. I, s. 121).

Taki był przecież niezawodny, Montaigne’owski sposób zbliżania się do czytelników, a najlepszym sposobem spoufalania ich z mądrością –

przestrzeganie godziwego w tej mierze stopnia. Gombrowicz upominał sam siebie: „Tak! Być ostrym, rozumnym, dojrzałym, być ‘artystą’, ‘myślicielem’, ‘stylistą’ tylko do pewnego stopnia, i nie być nigdy za bardzo i właśnie z tego ‘nie za bardzo’ uczynić siłę równą wszystkim bardzo, bardzo, bardzo intensywnym siłom” (*Dziennik*, t.I, s. 121). A to znaczyło także – walczyć w sobie z przesadą, z udawaniem.

## 3

Postulat Montaigne’a: Trzeba zdjąć maskę równie z rzeczy, jak z osób” (*Próby*, Ks. I, rozdz. 19) zapowiadał z daleka późniejszą tezę Gombrowicza, której potrafił on nadać rangę siły kształtującej. Premiując szczerłość i odwagę występowania bez maski, francuski eseista wyznawał: „Ja, który widzę się i badam aż do trzewiów [...] wiem dobrze, co mi przynależy. Rad godzę się być mniej chwalonym, bylebym lepiej był znany. Najgorsza z moich spraw i właściwości nie wydaje mi się tak szpetna, jak szpetnem i nikczemnem zda mi się nie śmieć jej wyjawić”. Dodawał jeszcze, że: „śmiałość błędu jest niejako zrównoważona i poskramiana śmiałością wyznania go” (*Próby*, Ks. III, rozdz. 9). Znalazło to potwierdzenie w ambitnym oświadczeniu Gombrowicza w czwartym roku „zaczerniania kartek” *Dziennika*: „Nic zwykleszego od mojej egzystencji i bardziej pospolitego – może wstrętnego lub podłego (ja nie brzydzę się sobą ani swoim życiem)” (*Dziennik*, t. I, s. 226).

Do używania słów niewyszukanych a nawet brutalnych, byle trafiających w sedno sprawy, przyuczał go pisarz XVI wieku, następca Rabelais’go, doceniający w pełni wartość drwiny i swawolnego mówienia. Za fragment *Dziennika* można by wziąć zwierzenia z *Księgi III*: „Nieraz mi powiadano [...] Gadasz paradoksy. Szaleństwa się siebie trzymają. Kpisz sobie z ludzi; pomyśli ktoś, że mówisz poważnie, a to są szczerze drwiny. Zapewne, powiadam, ale [...] czyliż nie tak mówię zawsze? Czyż nie przedstawiam się żywo, jak jestem. Wystarczy. Uczyniłem to, co chciałem: każdy rozpozna mnie w tej książce [...]. Mam po trosze naturę małpiarską i naśladowczą [...] nie z umysłu wybrałem ten sposób swawolnego mówienia: natura obrała go za mnie” (*Próby*, Ks. III, rozdz. 5).

Gombrowicz, mistrz nowoczesnego paradoksu, mówił o sobie, że jest bardzo z epoki saskiej; jakże mógł nie aprobować ostrej opinii

Montaigne'a o gatunku *homo sapiens*: „Człowiek. Cóż za potworne zwierzę, które wzbudza wstręt w sobie samym, któremu ciężą jego własne rozkosze a własne istnienie jest nieszczęściem” (*Próby*, Ks. III, rozdz. 5). Prowokacyjnie do tych słów dorzucone wyznanie miało wagę wiedzy płynącej z samopoznania: „Sumieniu memu zdarzyło się zabrnąć aż do rozpusty i wyuzdania;” a dołączony cytat z Platona mówił o porywie serca i zmysłów Sokratesa u boku ukochanego ucznia, mimo podeszłego wieku filozofa.

Już w pierwszej księdze Montaigne'owskich rozważań musiał zwrócić uwagę Gombrowicza rozdział 19 pod tytułem: *Jak filozofować znaczy uczyć się umierać* – mówiący o tym, że czas, kiedy młodość w nas obumrze, jest to w istocie swojej i „po prawdzie, śmierć cięższa niż śmierć zupełna z charłaczego życia i niż śmierć ze starości; ile że nie tak ciężki skok stanowi przejście od bytu nieszczęsnego do niebytu, niż z bytu kwitnącego i rozkosznego do bytu uciążliwego i nieszczęśliwego”.

Autor *Dziennika*, spowiadający się w nim szczerze z odkrycia, że młodość go – zdradziecko i nieoczekiwanie – opuściła, odnajdywał doświadczonego poprzednika w Montaigne'u stwierdzającym nie bez melancholii: „[...] już zapuściłem się w rubieżę starości, przekroczywszy niezgorzej czterdziestkę [...]. To, czym będę odtąd, to będzie już tylko połowa bytu, to już nie będę ja; wymykam się sobie co dnia [...]” (*Próby*, Ks. II, rozdz. 17).

W swym *Dzienniku*, w 1953 r., zbliżający się do pięćdziesięciu lat Gombrowicz roztaczał ponurą wizję: „[...]jesteśmy już w trakcie umierania. Ludzie po czterdziestce [...]. Na pogrzebie (znajomego) myślałem: że to nie żywi żegnają nieboszczyka, ale umierający umarłego [...] każdy dźwigał siebie jak torbę wypełnioną zgonem”. Jakby mało było tej poetyckiej okropności, dorzucił jeszcze inspirowaną własnym bolesnym doznaniem refleksję: „[...] brzydota powolnej śmierci, którą nazywamy starzeniem się, ciążyła mi jak głaz i to głaz absolutny, nieunikniony, głaz *sans phrases*. Rozmyślałem też nad mistyfikacją, która temu towarzyszy. Gdyż wśród ludzi nie ma, nie może być większego przeciwieństwa, jak biografia wstępująca i zstępująca [...]” (*Dziennik*, t. I, s. 54).

#### 4

W księdze trzeciej musiała uderzyć Gombrowicza powinowactwem z jego własnymi przemyśleniami inna refleksja francuskiego myśliciela:



„Mamże powiedzieć prawdę? – wyznawał Montaigne – miłość zda mi się być w swojej właściwej i naturalnej porze jeno w wieku bliskim dziecięctwa [...] i piękność również” (*Próby*, Ks. III, rozdz. 5). W rozdziale *Księgi I (O wieku)* zatrzymywało uwagę nowatorskie i śmiałe spostrzeżenie, z tamtym pokrewne, iż dusza w dwudziestym roku pełni swego mózżebnego rozwoju i zapowiada wszystko, czym będzie: „W tym terminie albo też nigdy wydają naturalne właściwości i cnoty wszystko, co mają krzepkiego i pięknego”. Do tej tezy dorzucił Gombrowicz w ostatnim tomie *Dziennika* swoją oryginalną poetycką głose: „Mnie, w moim charakterze poety, zachciewa się przywrócić piękności gatunku ludzkiego jej sens dziki, pierwotny, zawstydzający, nieubłagany [...] jej sens osobisty... [Podkr. W. G.] Patrz, tam gdzie kończy się dziecko, a dorosły jeszcze na dobre się nie zaczął, tam, od czternastu do dwudziestu czterech lat, dane jest kwitnienie człowiekowi. Jedyne to czas pełnej piękności w człowieku. Istnieje w ludzkości rezerwat nieśmiertelny urody i wdzięku, ale – niestety, niestety! – związany z młodością [...] trzeba jej doznać poprzez to, czym się było, czym się nie jest, poprzez tę niższość młodości [...]” (*Dziennik*, t. III, s. 163).

Powrócił do tej sprawy, by jak najmocniej podkreślić, że „człowiek zstępujący może nawiązać z życiem tylko poprzez istotę wstępującą, dorastającą – albowiem życie zawsze jest ‘wschodzące’” (*Dziennik*, t. III, s. 181). Podsumowując swe tezy odbiegające tak daleko od założeń Montaigne’a, a wynikające z przeświadczenia, że niedoskonałość jest wyższa, gdyż bardziej twórcza od doskonałości, w której dynamika zamiera – w *Rozmowach z de Roux* Gombrowicz uznał za stosowne zamieścić sformułowanie tej koncepcji, jego zdaniem, najważniejszej: „Do prawdy, że Młodość to Niższość dotarłem b. wcześniej i od razu jak do czegoś niewątpliwego. Tak, być młodym, oznaczało być słabszym, gorszym, niezrobionym, niedostatecznym, niedojrzałym [...]” I dlatego – „młody musi być poddany dorosłemu”. W istocie zależność jest odwrotna. – W tym kryła się niebłaha korektura Montaigne’a. Już w pierwszym tomie swego *Dziennika* Gombrowicz z dumą stwierdzał, że spróbował „dotrzeć do tego najtrudniejszego królestwa zakochanej w sobie niedojrzałości, gdzie tworzy się nasza nieoficjalna a nawet nielegalna mitologia” i że uwydatnił „poezję gwałtu zadawanego przez niższość wyższości” (*Dziennik*, t. I, s. 123). Dwa lata później, pod koniec 1956 r., zwracał uwagę czytelników i krytyków na swoje prawo

priorytetu w tej mierze: „Któż [...] bardziej brutalnie odczuł zależność sfery wyższej od niższej? I, pytam, kto posunął się tak daleko w odczuciu, że twórczość, piękność, żywotność, cała pasja i poezja świata są w tym, że wyższy, starszy i dojrzalszy poddany jest niższemu i młodszemu? To wszystko bardzo jest moje” (*Dziennik*, t. I, s. 251).

## 5

Tu świadomie odchodził od Montaigne’a. Wracał doń, by rozwinąć jego prekursorskie spostrzeżenia i uwagi o sąsiedztwie geniuszu i szaleństwa; rozwinąć w osobny, pełen głębokich analiz i nieoczekiwanych skojarzeń esej o „chorym” geniuszu narodu żydowskiego. Punktem wyjścia stały się wnikliwe stwierdzenia, że daremnie wszyscy wielcy, jak Michał Anioł, Szopen czy Beethoven domagali się „normalnego” życia. Replikował: „Niestety! Ci, którym dano prawo do wyższości, nie mają prawa do równości” (*Dziennik*, t. I, s.107).

Następowała spokojna, wyważona w każdym słowie apologia narodu żydowskiego, który „nie ma łatwego dostępu do życia”. Ale też „Nie ma narodu bardziej oczywiście genialnego – i mówię to nie tylko dlatego – wyjaśniał – że oni zawarli w sobie najważniejsze inspiracje świata, że co chwila wybuchają jakimś wiekopomnym nazwiskiem, że wycisnęli pieczęć swoją na dziejach. Geniusz żydowski jest oczywisty w samej swojej strukturze, to jest w tym – tu nawiązywał do spostrzeżeń francuskiego myśliciela XVI wieku – że podobnie jak genialność indywidualna, jest najściślej połączony z chorobą, upadkiem, poniżeniem. [...] Ten naród, jak Michał Anioł, Szopen i Beethoven jest dekadencją, która przetwarza się w twórczość i postęp” (*Dziennik*, t. I, s. 107).

Tak inspirowany przez Montaigne’a wypowiadał się pisarz, który – świadomy, że sam był dekadencją – usiłował ją przetworzyć w twórczość i postęp.

W swym *Dzienniku* Gombrowicz ujął to najprościej: „...zapisuję w tym *Dzienniku* także własną moją historię”. I dodał z właściwym sobie sarkazmem: „Nudzi was moja historia? To by dowodziło, że nie umiecie z niej odczytać własnej historii” (*Dziennik*, t. I, s. 195).